Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 19.** Leszno, dnia 12. Listopada 1836.



Widok Betanii i morza martwego.

Peregrynacya do Ziemi Śtéj.

(Dalszy ciąg.)

Ztamtąd godzinę przed wieczorem wróciliśmy do Jeruzalem, i stanęliśmy w klasztorze, kędy ojciec wikary dał mi sprawę, że u Subbaszego, któregośmy na górach judzkich widzieli, zjednał nam [com mu był zlecił] przewodnika, Araba, do morza martwego i do Jordanu.

A tak około południa szliśmy do Subbaszego: mieszkał w Piłatowym domu, kędy jeszcze jest Lithostratos, [w ewanjelii mamy o niém] albo miejsce, marmurowemi tablicami położone, do którego z wierzchu samego murowania [gdyż krycia nie masz] widzieć. Podsienie idzie z obu stron, kędy Piłat na tronie siedział: są słupy trzy z porfiru, kamienia czerwonego; u jednego z nich na rogu Pana naszego biczowano. Pod tém podsieniem [zkąd widzieć kościoła Salomonowego podwórze] siedział ten Subbasza, na ziemi kobierzec mu podłożono, i wezgłówko jakieś drogie, zwyczajem tureckim. Siedział z nim po prawéj ręce jakiś Turczyn: był i Arab, który dla bezpieczeństwa miał nas za słuszną kontentacyą prowadzić. Albowiem rzadko pielgrzymowie do Jordanu i dla nakładu i dla niebezpieczeństwa od Arabów, jeździć albo chodzić zwykli. Ja, żem koniecznie postanowił te miejsca nawiedzić, z Subbaszym o drodze bezpiecznéj traktowałem, który odemnie sto czerwonych złotych wziąwszy, dla nas Araba najął; a podawszy mu tylko 5 cekinów [uczyniło złotych 10] i koszulę przyrzuciwszy, ostatek sobie wziął, gdyż bez jego pozwolenia, Araba najmować sobie nie godzi się.

A tak przy nas do Araba przez tłómacza mówił: ci pielgrzymowie chcą do martwego morza [tak go zowią, iż po nim żeglować nie można dla zbytniéj gęstwy siarki, gdzie aby i człeka wrzucił, nie utonąłby] i do Jordanu i do Jerycha jechać; obiecujeszże ich zdrowo tu zaś na to miejsce odprowadzić? Odpowiedział, że obiecuje, gdyż będę miał piętnastu towarzyszów

Arabów z łukami, przednich strzelców: do tego Araby, którzy w tamtych krajach zbijają, znam dobrze, i mam z nimi wielką przyjaźń. Co jeśliby się jako trafiło na nieznajome wpaść, pierwszy uderzę na nieprzyjaciela, i pierwéj się dam zabić, niżelibym miał wiary niedotrzymać. Strawę przecie będą mi powinni dać, którą póki będę miał od nich, kędy zechcą, poprowadzę ich wszędy. Przysięgę potém swoim zwyczajem czynił, prawą ręką się swego czoła dotykając, a w niebo oczy podnosząc. Wtém odeszliśmy od Subbaszego, który nam też trzech jańczarów z półhakami przydał. Ten Arab szedł za nami do klasztoru, kędy na potwierdzenie onego juramentu, chleb z solą ochotnie jadł. Albowiem chociaż Arabowie rozbojem się bawią, szczerość jednak i prostotę tę z boskiego zrządzenia zachowują, że ilekroć przysięgają, a tę przysięgę pełnić chcą, chleb z solą na znak tęgo jedzą.

Wyszedłszy tedy za bramę rybną i wsiadłszy na osły, puściliśmy się w drogę. Ujechawszy trzy mile drogą trudną i kamienistą, trochę przed zachodem słońca przybyliśmy do greckiego klasztoru Ś. Saby, nie bardzo budownego, przecie około tak wiele ma w skale wykowanych komórek, że w onych dawnych czasach 5000 mnichów Czerńców tu mieszkało. Po wieczerzy trocheśmy się uspokoili; a gdy o północy na jutrznią kołatano w tablicę [bo w państwie tureckiém dzwonów zakazano zażywać], wyszliśmy z klasztoru, i szliśmy drogą górzystą, między skałami i rowami kamienistemi, którędy, by był miesiąc nie świecił, żadnym sposobem nie moglibyśmy byli iść. A jednak téj nocy uszliśmy trzy tysiące kroków, i na świtaniu ujrzeliśmy mare asphalticum, na którego brzegu stanęliśmy dwie godziny na dzień.

Morze to, albo raczéj jezioro [bo tylko mil 20 wzdłuż, a kędy najszersze 6 albo 7 tylko] w tém jest miejscu, kędy na świadectwo sprawiedliwości pańskiéj, pięć miast ogień z nieba spalił: zwano je Sodoma, Gomora, Sochot, Amona i Sebion. Niektórzy twierdzą, że się te miasta zapadły. To jezioro całe prawie jest siarczyste, ma kamienie na brzegu, które zapaliwszy, jako drzewa gorają: niecom ich z sobą przyniosł dla pokazania experyencyi. Józef Żydowin w historyi o wojnie żydowskiéj, i dobrze i prawdziwie to miejsce opisał, najbardziéj, że się tu na dzień trzykroć barwa odmienia tego jeziora, bom to sam widział. Rano czerniała się woda; w południe, gdy słońce pali [bo tu gorąca są zbytnie] jak modre sukno była; przed zachodem po gorącach, by błotem przemieszana, tróchę się czerwieniała albo raczéj zżółkniała. *) Owoców z drzew brzegu tego [jako ten Żyd pisze lib. 5: iż zdadzą się piękne jabłka, a gdy je urwiesz i ściśniesz, wewnątrz popiołu i perzyny pełne obaczysz] jam tu nie widział. Już ich tu więcéj nie masz, ani drew, ani bałwana soli, postaci żony Lotowéj, który choć tak i owak otrącony i okrzesany, przecie cały musiał być. Pytałem ja się pilno i tego Araba naszego, i osób miejsc tych wiadomych, którzy wszyscy twierdzili jednostajnie, że tu nigdzie nie masz nic takowego. Jezioro z samego wejrzenia straszne jest, bo zewsząd go okrążyły góry i skały głuche; wodę ma miąższą i śmierdzącą, któréj choć kroplę na język wezmiesz [jakośmy i my uczynili] bardzo go kąsa, a głowę ciężkim smrodem i zaraźliwym napełnia. Zastaliśmy na brzegu nagiego a bardzo czarnego murzyna, sól [bo to jeziorosól rodzi: acz gorzka, jakoby z żołcią zmieszana] zbierającego: straszną twarz miał, skokiem prędki i chyży; wisiał na nim sajdak z łukiem: znał go nasz Arab, jako sławnego zbójcę. Jordan rzeka w to jezioro wpada, stroną tą, którą też do klasztoru świętego Saby przychodzimy. Potém szliśmy półtoréj mili przez głębokie piaski do miéjsca, kędy Pana naszego Jan ś. chrzcił. Po prawéj ręce rzeki, która częstokroć wężykowatym nurtem idzie, przy tém miéjscu, kędy Zbawiciela chrzcono, jest lasek ciemny, wzdłuż na pół mili, a wszerz na strzelanie z łuku, brzegiem wciąż

*) Więcéj niżeli który świata zakątek, zajmuje uwagę podróżnego wielkie jezioro martwém morzem zwane. Pismo ś. opowiada, a fizycy tłumaczą, jakim sposobem ta nieszczęśliwa okolica zamieniła się w pustynią. Gomora, Sodoma i inne z miast, pływające, że tak rzekę, na zebranych tutaj podziemnych wodach, zawieszone na pokładach siarki i żywicy ziemnéj, same zbudowane z kamieni żywicznych, zalegały dolinę Siddin. Pewnego dnia, gdy, według Pisma ś., już nieprawości przepełniła się miarka, piorun spadł z nieba, zapalił miasto, od którego zajęły się pokłady siarki i żywicy; ziemia się zapadła, a woda wyparta z podziemnych lochów, wytrysnęła do góry i utworzyła morze do 20 mil długości mające, a 6 do 7 szerokości. Tysiące wieków upłynęły, a ślady okropnego pożaru, dziś jeszcze widać nie tylko w jeziorze, lecz nadto w gruzach i zupełnie przepalonéj ziemi. Też same skutki gwałtowne trzęsienie ziemi sprawić mogło. Pasma gór, pomiędzy któremi ciągnie się ta nieszczęśliwa dolina od północy ku południowi, są z kredy i czarnych skał, które tak są gołe, że, jak się wyraża pewien podróżny, najmniéjszy ptaszek niebieski nie znalazłby na nich ani jednéj trawki na pożywienie. Również nieurodzajna i pusta jest dolina temi górami otoczona: grunt żółty, zawierający sam tylko popiół, sól, szlam suchy i piasek, rzadki wrzoschyla gdzie niegdzie swe zwiędłe wierzchołki, a liście na pół spalone, popiołem okryte: ich smak i zapach zdradza spaleniznę. Nie masz tam życia, ruchu, ani wrzawy; wszystko wieczna ogarnęła cisza. Im bardziéj się zbliżamy do martwego morza, owego ogniska pożaru, tym większe spostrzegamy spustoszenie i smutniéjszą rzeczy postać. Brzegi jeziora okryte są piaskiem soli, podobnym do szronu européjskiego. Wody koloru zielonawego i niebieskiego, mające postać oliwy, pomimo przezroczystości, stoją bez ruchu, bez szumu lub huku; zdają się być stężałe i ścięte w lód. Napuszczona cząstkami soli, żywicy i siarki, tak jest ciężka, że człek chcący pływać, nie zanurzy się w niéj, lecz na powierzchni zostanie. Wespazyan kazał w nie wrzucić niewolników, mających związane ręce i nogi, lecz nie utonęli. W różnych czasach uczeni powtarzali to doświadczenie, i przekonali się, że niepodobna żadną miarą utonąć. Wietrzyk powolny nie pędzi wcale bałwanów; orkan dopiero gwałtowny zdoła je rozkołysać, i natenczas bijąc w brzegi, bielące się od

idzie. Ma drzewa, których liście podobne jest wierzbie, ale przecie inaksze jest, jako się z gałązek obaczyć może, którem z sobą przywiózł. I ta to jest puszcza, o któréj Marek ś. czyni wzmiankę, kędy Jan ś. chrzcił i pokutę opowiadał. To zaś, co Jan ś. jadał [koniki polne czyli szarańcze i miód leśny], jużto w tych miéjscach zginęło wszystko. Lecz podobna rzecz ku wierzeniu, że rzeka, która nie błotna, ale kamienista jest, i między skałami ciecze; ślimaki, które i tak surowo jeść może, na brzeg wymiatała. Lecz o tém wszystkiém pewności nie masz. Miód też w tym lasku być mógł: teraz nie masz nic, puszcza tylko pusta, która nic nierodzi.

Jordan ma wodę bardzo mętną ale zdrową; wziąwszy ją w flaszkę, trwa i nigdy się niepsuje, czegom doświadczył w téj, którąm z sobą przywiózł. Myli się w niéj nasi, gdyśmy na brzegu jedli: wszerz ledwie ma łokci 30, chyba kędy w martwe morze wpada, gdyż tam szerzéj leje. Za rzeką, po prawéj ręce jeziora Asfaltydu, poczyna się Arabska ziemia, zowią ją pustą, i słusznie, gdyż okrom piasków i skał, więcéj nie ma nic.

Ztąd przez Betanią wróciłem do Jeruzalem, a iześmy się byli nie ladajako spracowali, wytchnęliśmy sobie.

(Koniec nastąpi.)

soli, a czerwieniące się od żywicy, spráwiają jakąś posępną melancholią, wydając szum ponury i płaczliwy. Długo myślano, iż żadne zwierzę żyć nie może w ich łonie; tymczasem nowsi badacze odkryli w niéj gatunek ryb drobnych, brzydkiego smaku, a na brzegach pewien rodzaj muszli. Ponieważ to jezioro zasila się wodami i żyłami żywicy ziemnéj i siarki, kiedy te żyły przybiorą, kłęby dymu wznoszą się po martwych bałwanach, a smoła płynna wydobywa się na powierzchnią wody, gdzie tęgnie i twardnieje. Zwierzęta i ptaki uciekają przed zaraźliwemi wyziewami, opuszczając szybko te posępne brzegi, gdzie napróżno szukały pożywienia. Nigdy czołno nieożywi głębokiéj ciszy tych wód. Arabowie, przybywający z swych pustyń dla zbierania tutaj soli i żywicy, przybliżają się nie bez strachu do morza Lotowego (tak oni to jezioro nazywają). Opowiadają oni, że w nocy słychać jakieś ciche jęki z głębi tych wód, i że w tych porach, kiedy jezioro opada, spostrzegać można szczątki i gruzy miast przeklętych. Taki jest widok tych miejsc, a podług jednozgodnego świadectwa wszystkich prawie podróżnych, nie można nie uczuć przestrachu, religijnéj bojaźni, i łatwo rozpoznać, choćby Pismo święte nie było o nich wspomniało, że ta dolina musiała być widowiskiem jakiego smutnego zdarzenia, śmierci, upadku i spustoszenia.

Morze martwe, ten żywy i prawdziwy obraz jeziór i rzek piekielnych w mitologii greckiéj; pochłania w sobie pomiędzy innemi strumieniami, wody Jordanu, który przed powstaniem tego jeziora, podług zdania wielu uczonych, wpadał w morze czerwone, wskazując nawet ślady swego dawnego koryta. Ze to jezioro, mimo wpadania tylu rzek, niewylewa z swych brzegów, to jedynie tylko przypisać należy waporowaniu wód jego; ponieważ domysł, jakoby miało kommunikacyą podziemną z innemi morzami, nie ma za sobą żadnego dowodu.

O pieniążkach wykopanych pod Zaniemyślem.

(Koniec.)

Przytoczywszy to, co może z pochodzeniem pieniążków naszych bliższą jakąś mieć styczność, resztę dziejów numizmatycznych opuszczamy, a przystępujemy do właściwego nam przedmiotu. W pobliżu jeziora Zaniemyskiego, wykopano na wzgórzu piaszczystém, co zapewne jest ogniwem łańcucha okopów kępskich, dość spore naczynie z zwyczajnéj gliny, napełnione aż pod wierzch pieniążkami, których pochodzenie, dawność i t. d., mimo ich nieforemność — są to blaszki nieregularnie w kształcie talerzyków wypukło okrągłe, grubości papieru — mimo brak stępla, liter, widać bowiem tylko jakoweś znaczki, w wklęsłéj środkowéj części, na jednéj tylko stronie wyciśnięte, (podobne kwiatkom, krzyżykom; mimo to wszystko, poznanie tych pieniążków, oznaczenie nawet czasu, w którym mogły być bite, nie jest tak trudne; dla tego, że wielu bardzo narodom były wspólne, szczególniéj zaś Gotom, Niemcom, Czechom; utrzymują nawet, że Hiszpanie, już je przed Chrystusem znali; w innych przecie krajach dopiero i najwięcéj bito tych pieniędzy w XII. i XIII. stoleciu; u nas zaś jeszcze i w XIV istnieć nie miały, jak Czacki utrzymuje. Przeciwko temu twierdzeniu mówi jednak głośno nasze odkrycie. Cóż bowiem oczywistszego, jak to, że w czasie burzliwym, w czasie niepokoju, zamieszek, chcąc zabezpieczyć skarb jaki przed łupieską ręką nieprzyjaciela, powierzano go wnętrznościom ziemi? Czasem największych zamieszek w Polsce, była zapewne wojna Władysława Łokietka, prowadzona z Krzyżakami. Factum zaś jest historyczne, że się w ciągu téj wojny Polacy pod Zaniemyślem okopali. Nie podpada więc żadnéj wątpliwości, iż w ówczas już, pieniążki w 1826 roku odkryte, przez którego z mieszkańców tutaj złożone zostały. Ponieważ zaś wojna ta, a szczególniéj okopanie w roku 1331 nastąpiło, więc dowód jasny, że pieniążki te w XIV. wieku w Polsce kursowały.*) Jakie w czasie zjawienia się swego nosiły nazwisko, niewiadomo; dzisiejsi numizmatycy nazwali je brakteatami, od łacińskiego bractea (blaszka). Niemcy zowią tę monetę Zahlpfennige, Blechmüntze. Wszystkie nazwiska dość wiernie zewnętrzny kształt pieniążków malują, który jednak nie zawsze był równy; między wartością ich nawet zachodziła różnica. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, wartował w ówczas brakteat 4 nasze grosze. Z czasem jednak zmieniła się ich dobroć. Czacki mówi: „te monety były bite od wielu panów i miast; „najdawniéjsze były z czystego srebra, potém „urzędownie i prywatnie fałszowano, miedziane „blaszki pobielano.“

*) Tu przypada obrazek pieniążków No. Iszy.

Z tych słów wnieść można, że brakteaty o których mówimy, do najdawniéjszych w Polsce policzone być muszą, są bowiem z czystego srebra, 12téj proby.

Na zapytanie, dla czego bito pieniądze, podpadające tak łatwéj zagubie, zniszczeniu, tak niekształtne? odpowiadali niektórzy, że dla braku kruszcu; inni, że dla braku dobrego rzemieślnika, dobrych mennic i t. p. Czacki słusznie jednak zbija to mniemanie, dowodząc, iż z owych czasów mamy większe monety, zwane denarami; lepsze co do srebra od brakteatów, i nierównie foremniéjsze; bo po obu stronach stępel na nich jest wyciśnięty. *) Najzgodniéjsze zapewne z prawdą będzie mniemanie, że gdy wielu biskupów, xiążąt, opatów, miało prawo bicia pieniędzy, a zaprowadzenie mennic porządnych i dobrych, znacznego wyciąga nakładu; bito więc taką monetę młotem, a to nawet drewnianym; ztąd jéj niekształtność. Tyle o brakteatach znalezionych w 1826 roku: przejdźmy teraz do pieniędzy odkrytych kilka lat późniéj, między Srodą a Zaniemyślem. Pieniędzy tego odkrycia są trzy gatunki: jednakość ich pochodzenia z brakteatami oczywista; bo środkowe znaczki, zupełne prawie z znaczkami brakteatów mają podobieństwo; chociaż kształt ich pewny, wydatny, prowadzący na domysł jakiéjś już sztuki menniczéj. Stępel na nich po obu stronach wyciśnięty. Są grubsze od dzisiéjszych trojaków, a prawie téj samej wielkości.

(Rysunek pod Nrem IIgim.)

Będą to bez wątpienia te denary, o których dopiero co wspomnieliśmy, Czackiego przytaczając zdanie.

Drugi gatunek pieniędzy jest większy w obwodzie od denarów, z czystego zupełnie srebra; na obu stronach stęplem opatrzony; na jednéj krzyżyk, na drugiéj herb, po bokach litery były; ale przypadek mieć chciał, że tych pieniędzy najmniéj; wszystkie zaś musiały przez jakieś szczególniéjsze zdarzenie dużo od ognia ucierpieć, bo tak są zatopione, że tylko kilka liter na jednym z nich, na żadnym zaś herbu dobrze rozróżnić nie można.

(Rysunek pod Nrem IIIcim.)

Litery NIE, kto wie, czy nie są końcowemi od POZNANIE. Gdybyśmy się na to zgodzili, przyjąćby te pieniądze można, za monetę którego z poznańskich biskupów; nawet ów krzyżyk korzystnie tę rzecz tłómaczyć się zdaje. — Wiemy zaś, że Biskupi, szczególniéj Wielkopolscy, posiadali prawo bicia monety.

Wzmiankowany wyżéj przywilej Władysława Plwacza, nadany Biskupowi Poznańskiemu i jego następcom, w roku 1203 — 1207, może z przytoczonym gatunkiem pieniędzy bliższy jakiś ma związek. Pokażemy bowiem zaraz, iż pieniądze wykopane pod Środą pewnie czasów Odonicza sięgają. Wniosek ten ma to za sobą:

Między owemi pieniędzmi znajdowało się kilka sztuk srebrnych także, które się jednak zewnętrznością całkiem od reszty różnią. W wielkości równają się denarom, lecz daleko od nich są cieńsze; przytem jednak foremne. Litery po bokach wybite, oparły się wpływowi kilku wieków zupełnie. Czytać można z jednéj strony: „Andreas Rex“, z drugiéj „Panonia“ (Węgry).

(Rysunek pod Nrem IVtym.)

Pieniążki więc te, bite są w Węgrzech, pod Andrzejem, lecz pod którym? Domysł i większe podobieństwo, powinny w takim razie brak pewności zastąpić. Wiadomo, że w Węgrzech panowało trzech Andrzejów; wątpliwość jednak, za którego owe pieniądze wybito, ściągać się tylko może do IIgo i IIIgo Andrzeja; pod każdym z nich łatwo do Polski przejść mogły; przytoczywszy zaś okoliczności, mogące to przejście zpowodować, rozstrzygnienie łaskawemu zostawiamy czytelnikowi.

Kiedy Władysław Odonicz, Plwaczem zwany, syn Ottona, za panowania Leszka Białego (1194 — 1227), dzierżył rządy Wielko-Polski, pod przywłaszczoną sobie nad nim opieką Władysława Laskonogiego, Gnieźnieńskiego xiążęcia, niechętni z téj opieki panowie duchowni i świeccy, ponieważ widzieli, że w Laskonogim odżywia się duch monarchiczny jego ojca, *) poddali młodemu Odoniczowi myśl zrzucenia jarzma stryjowskiego. **)

Dał się powodować młodzieniec ich radom, a zaufany w stronnikach swoich, opanował Kalisz; lecz skoro Władysław Laskonogi nadciągnął, tak poraził synowca, że zaledwie z siedmiu towarzyszami zdołał ujść do Krakowa, ztąd do Węgier (1216), gdzie w ówczas właśnie Andrzej II. panował. Tutaj niejaki czas posiedziawszy, znajduje sposobność odzyskania xięstw, po ojcu nań przypadłych. W habicie mnichowskim przybywa do Wielko-Polski, i oblega zamek Ujście, nad Notecią. Niebaczność przeciwnego mu stryja, a jego odwaga, wnet mu dawne przywracają rządy. Wycieczki jego teraźniéjsze na Nakło i inne Wielko-Polski miasta, nie tak były znaczne, jak w 8 lat późniéj (1233) toczone walki z Henrykiem Brodatym, *) który Odoniczowi za to był niechętny, iż za jego niby poduszczeniem, Swiętopełk, xiąże Pomeranii gdańskiéj, którego córkę Odonicz za żonę pojął, napadł na zjazd Gąsawski i Leszka zabił (1227). Znaczniéjsze podówczas Wielkopolski miasta były: Bnin, Szrem, Środa; w nich się dość długo bronił Odonicz.

Zupełnie więc prawdzie i rozsądkowi przeciwnem nie będzie mniemanie, że Władysław Odonicz, bawiąc u Andrzeja, w czasie swego wy-

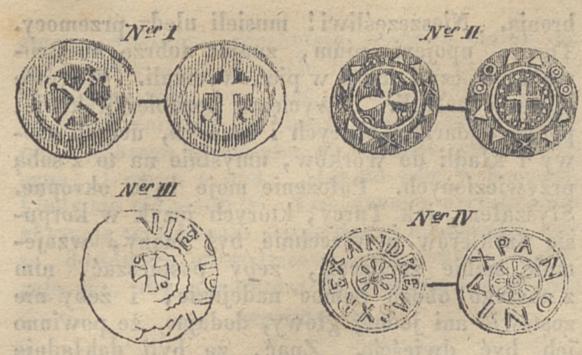
---

*) Między pieniędzmi drugiego odkrycia, są te denary i rysunek ich załączony.

*) Laskonogi był synem Mieczysława Starego.

**) Odonicz, syn Ottona, brata Laskonogiego.

***) Pod Władysławem Wstydliwym.



Pieniążki znalezione pod Zaniemyślem.

gnania, od niego pieniędzmi posilony został, i niemi później wojsko swoje żołdował. Ponieważ zaś kilkakrotnie zamykał się w zamkach: Szrem, Kurnik i Środa; zdarzyć się mogło bardzo łatwo, że który z jego żołnierzy pieniądze, czyli zrabowane, czy własne, między któremi kilka sztuk węgierskich się znajdowało, w okolicach tych zakopał.

Gdybyśmy to przyjęli, natenczas pieniądze drugiego odkrycia, prawie jednostolecie prędzéj jak brakteaty, w ziemi leżećby musiały. Lecz i z drugiéj strony są dowody, że pieniądze te, razem z brakteatami i z jednéj pobudki zakopane być mogły.

Przenieśmy się tylko myślą w owe brzemienne nieszczęściem dla Polski czasy, kiedy naród od rozdziału monarchii, będąc przez dwa blisko wieki, w ustawiczném prawie bezkrólewiu, a dawszy wzrost arystokracyi, już nie tak prawu sukcessyi i przechodzącemu porządnemu następstwu zwierzchności, jako raczéj przemocy i możniejszych dziwactwom podlegać musiał.

Tym czasem był szczególniéj początek 14go stolecia; kiedy Władysław Łokietek, ulegając zdradzie własnego narodu, ulegając przemagającemu nieszczęściu, w pośrodku tysiącznych niebezpieczeństw, do Węgier uchodzić musiał, zostawszy z króla tułaczem [1300]. — Tutaj przesiedziawszy czas niejaki u Amadeja Wojewody, dawnego swego przyjaciela, odprawiwszy pielgrzymkę do Rzymu, z zasiłkami, jakie zebrał w Węgrzech, za pomocą Amadeja, puścił się zbrojno do Polski, powierzając się szczęściu i szabli.

Oto druga sposobność, za jaką pieniądze Węgierskie do nas dostać się mogły. Która z obydwóch jest z prawdą zgodniejsza, zostawiamy to świadomszym rzeczy do rozstrzygnienia. W każdym jednak razie pieniążki pod Zaniemyślem wykopane, sięgają przynajmniéj 13go stolecia.

B...

Wróżka.

Któż z nas nie pragnie wiedzieć o swym przyszłym losie? Ta wrodzona ludziom ciekawość, czasem nawet na umysły najrozsądniéjszych i najświetléjszych osób, tak silną wywiera przewagę, iż, pomimo najżywszego przekonania o płonności swych zabiegów, zapalają się żądzą badania, co w niedościgłych wyrokach względem ich losu postanowiła Opatrzność. Ztąd wzięły początek wyrocznie i wróżby wszelkiego rodzaju, które w wielu państwach starożytnych, osobliwie zaś w Grecyi i w Rzymie, publiczną miały powagę. Pozbawione później, przez krzewiący się Chrystyanizm, swego znaczenia, pomiędzy pospólstwem znalazły swych wielbicielów: przyczyniła się do tego szczególniéj ciemnota średniego wieku. Ale i w naszych, z oświaty tak słynnych czasach, nie ustał przesąd wierzenia wróżkom, i choć już nie jawnie, pokryjomu jednakże jeszcze panuje. Przebiegli matacze umieją z téj słabości korzystać, i wmówić włatwowiernych, że posiadają dar odkrycia niezbadanéj przyszłości. Jakich zaś używają podstępów, ażeby sprawdzić swe przepowiedzenia, albo raczéj nadać im pozor prawdy; to się pokazuje, między innemi, z przypadków pewnego oficera w wojsku austryackiém, które tu przytaczamy.

„W ciągu wiosny 1788 r.,“ mówi on, „udałem się z Mikloś-Var, w xięstwie siedmiogrodzkiém, z oddziałem rekrutów, do mego regimentu, obozującego w ów czas w okolicy Orsowy. W wiosce, niedaleko obozu, mieszkała cyganka, markietanka, która, jak pospolicie cyganki, wróżbą się także trudniła. Rekruci moi, ludzie bardzo zabobonni, żądali, żeby im wróżyła. Ja także, śmiejąc się z nich, podałem rękę wróżce. „Dwudziestego Sierpnia!“ rzekła do mnie głosem dobitnym i znaczącą miną. Chciałem, żeby się dokładniéj wytłumaczyła; ale ona też same tylko powtarzała słowa, i gdym już odchodził, wołała jeszcze za mną tymże samym tonem: „Dwudziestego Sierpnia!“ Że ta data z pamięci mi nie wyszła, łatwo się każdy domyśli.

„Przybyliśmy do armii, dla dzielenia z nią trudów i niebezpieczeństw. Wiadomo, że w téj wojnie Turcy nie dawali pardonu. Wodzowie ich za każdą głowę nieprzyjacielską, dukata nagrody wyznaczyli. To postanowienie dla forpocztów naszych, bardzo było niebezpieczne. Jańczarowie i Spahy, powodowani chciwością zysku, co noc prawie na forpoczty nasze, dla zdobycia głów, napadali. Tak zaś zręcznie i tak niespodzianie odbywali swoje wyprawy, iż często zrana, przed obozem naszym na strażach, tołuby tylko bez głów znajdowaliśmy. Chcąc temu zapobiedz wódz nasz, xiążę Koburg, wydał rozkaz, żeby przed forpocztami, dla zasłonienia onychże od napaści, co noc liczne kawaleryi placówki, z dwóchset lub trzechset ludzi stawiano. Lecz tureccy baszowie, rozgniewani o uszczuplenie zarobku swoich żołnierzy, z handlu głów płynącego, liczniéjsze orszaki na zdobycz głów naszych wysełali. Korzyść Turków była więc tém znaczniéjsza, a służba naszych placówek tak niebezpieczna, iż,

ktokolwiek na nią był kommenderowany, nie mówiąc ani słowa, żegnał się z światem i na śmierć się gotował.

„Tak stały rzeczy na początku Sierpnia. Kilka utarczek nie zmieniło stanu wojska naszego. W tydzień przed owym złowrogim dwudziestym Sierpnia, wróżka, u któréj często żywność kupowałem, przyszła do mojego namiotu, i żądała, żebym, na przypadek zgonu w dniu przepowiedzianym, zapisał jéj część mojéj pozostałości; w przeciwnym zaś przypadku zobowiązała się, że mi da bezpłatnie kosz tokajskiego wina. Przezorność cyganki nie zdawała się być płonną; śmierć żołnierza w wojnie zawsze bliska; moja więc mogła się nawet przed dwudziestym Sierpnia wydarzyć. Jednak przystałem na projekt wróżki, stawiając w zakład za wino, dwa konie i 50 dukatów. Śmiał się z naszéj ugody audytor regimentowy, i na piśmie ją ułożył.

„Przyszedł dzień dwudziesty, a za nim koléj na regiment nasz odbywania służby placówkowéj. Przez cały dzień nie było podobieństwa, żeby miało przyjść do utarczki. Już mrok padał; żołnierze, na placówkę komenderowani, czynili przygotowania do odjazdu; ja będąc trzecim z pomiędzy oficerów mojéj rangi, przypatrywałem się bezpiecznie tym zabiegom kamratów. Wtém widzę chirurga pędem biegnącego; pytam się, co się stało. „Oficer,“ rzecze on, „mający placówką dowodzić, nagle zachorował.“ A tak następujący oficer, mój poprzednik, odebrał rozkaz, zastąpić miéjsce chorego. Jakoż spiesznie się ubrawszy, siada na konia, chcąc dogonić żołnierzy. Nadspodziewanie rumak jego zaczął się wspinać; zrzucił jeźdźca, który spadłszy, nogę złamał. Otóż koléj na mnie! Odjechałem, ale wyznaję, że nie bardzo w dobrym humorze.

„Kommenderowałem 80 ludzi z naszego regimentu, do których przybyło 120 z innego pułku; było nas więc 200. Stanęliśmy o tysiąc kroków przed linią prawego skrzydła, oparci o bagnisko, zarosłe sitowiem bardzo wysokiém. Nie mieliśmy warty; bo też nikt z nas nie zsiadał z konia. Rozkaz był: z dobytym pałaszem i odwiedzionym kurkiem stać aż do świtu. Aż do trzech kwadransów na pierwszą powszechna panowała spokojność. Wtenczas dopiero dał się słyszeć z daleka tentent koni; wnet potém krzyk przeraźliwy: Allah! W jedném oka mgnieniu wszystkie nasze konie w pierwszym szeregu padły, częścią od kul, częścią od silnego natarcia siedmiuset do ośmiuset Turków. Lecz silny odpór i ogień z naszych karabinów nie mało także nieprzyjaciół trupem położył. Scieramy się, bijemy, strzelamy na oślep. Ja odebrałem siedm ran szablą, i od Turków i od swoich ludzi. Koń mój, ciężko ranny, upadłszy mi na prawą nogę, powalił mię krwią zbroczonego na ziemię.

„Podnoszę oczy: widzę przy błysku pistoletów, jak nasi w rozpaczy mężnie się jeszcze bronią. Nieszczęśliwi! musieli uledz przemocy. Turcy, upojeni opium, znając dobrze miéjscowość, otoczyli ich i w pień wycinali. Wkrótce wszyscy polegli. Zwycięzcy pozabierali konie; potém obdarłszy chorych i rannych, ucinali głowy i kładli do worków, umyślnie na to z sobą przywiezionych. Położenie moje było okropne. Słyszałem, jak Turcy, których język w korpusie Szeklerów powszechnie był znany, wzajemnie siebie zachęcali, żeby pospieszać, nim z naszego obozu pomoc nadejdzie, i żeby nie zostawić ani jednéj głowy, dodając, że powinno ich być dwieście. Znać, że byli dokładnie uwiadomieni. W tém powszechném zamieszaniu gdy koń mój, kulą ugodzony, wzdrygnął się z boleści, i nogę moją od nacisku uwolnił, natychmiast przyszło mi na myśl, czylibym się nie mógł schronić do sitowia w bagnisku. Widziałem, że kilku naszych, probujących tego ratunku, zdybano. Tymczasem strzelanie znacznie ustało, a nocna pomroka kazała mi tuszyć, że mi się uda to śmiałe przedsięwzięcie.

„Porwawszy się, biegłem ze wszystkich sił po trupach ludzkich i po koniach; obaliłem w biegu nie jednego Turka. Ścigano za mną, żeby mię schwytać; machano szablami; lecz szczęście i zręczność sprzyjały mi w ucieczce. Dostałem się przecie do bagniska. Za pierwszym skokiem wpadłem po kolana, i tak brnąc w błocie dwadzieścia kroków, uwiązłem nakoniec, trudami wycieńczony. — „Dziaur jeden uciekł“, zawołał ktoś z Turków; „szukajcie go w bagnie!“ „„W bagnie?““ rzekli drudzy; „„to być nie może!““ — Nie wiem, czy mię szukali, bo już nic więcéj nie słyszałem. Zemdlałem, bo mnie krew ubiegła, i przez kilka godzin zostawałem w tym stanie.

„Już słońce było wysoko, gdym zmysły odzyskał. Aż po pas Igrałem w błocie. Pierwsza moja myśl była: dwudziesty dzień Sierpnia! Włosy mi się od strachu jeżyły, gdym sobie wspomniał noc upłynioną. Oglądałem moje rany, na ramionach, piersiach i na karku zadane; żadna nie była niebezpieczna. Futro grube, które dla chłodnych w tym kraju nocy na sobie miałem, ochroniło mię od ran głębokich. Czułem się jednakże bardzo słabym. Oglądałem się na wszystkie strony. Myślałem, że już Turcy dawno z bojowiska się oddalili, gdyż tylko stękanie koni ranionych dochodziło uszu moich; albowiem co się tyczy ludzi, tych Turcy na wieki uśpili.

„Zebrawszy wszystkie siły, wybrnąłem szczęśliwie z bagniska. (Koniec nastąpi.)

Przysłowia.

Co po psie w kościele, kiedy się nie modli?

Wieśniak nasz, nie będąc sam prawdziwie nabożnym, i nie umiejąc unieść się myślą ku

swemu Stwórcy, niechętnie przecież patrzy na tego, który się w kościele nie modli, czyli, właściwiéj mówiąc, na tego, który podczas nabożeństwa wargami nie rusza. Sądzi on, że bytność takiego człowieka w kościele jest zbyteczną, i mówi o nim: „Co po psie w kościele, kiedy się nie modli?" Tém samém przysłowiem zbywają wieśniaczki swoje dzieci niedorosłe, gdy te, dostawszy od rodziców nowe suknie, napierają się, aby z matkami do kościoła iść mogły.

Trafiła kosa na kamień.

Przysłowie to bardzo dawne, używane nieraz od ludzi wyższych stanów, wypłynęło najpierw niezawodnie z ust wieśniaka, w którego ręku kosa tak często się znajduje. Wieśniak używa go wtenczas, gdy sąsiad głuchym jest na jego prośby, albo też, gdy odwetem za wyrządzoną sobie krzywdę grozi.

Nowe sitko na kołek!

Wieśniak, równie jak większa część innych ludzi, każdą rzecz nową — chociażby nawet była daleko gorszą od staréj — ochrania troskliwie do pewnego czasu, rozciągając takowe postępowanie nawet do nowéj czeladzi, którą zwykł z początku chwalić. Na takie pochwały odpowiada mu sąsiad zwyczajnie: „Bodajście komotrze! Nowe sitko na kołek!" dając mu przez to poznać, że nowość, a nie dobre przymioty téj czeladzi, jest pochwał jego źródłem!

Joachim Pastoryusz de Hirtenberg.

Między uczonymi cudzoziemcami, którzy w dawnéj Polsce osiadali, Joachim Pastoryusz odznaczył się szczególnéj życzliwością i wdzięcznością ku swojéj przybranéj ojczyźnie. Urodził się w Wielkim Głogowie, w Śląsku, na początku 17go wieku. Odebrawszy od rodziców staranne wychowanie, i poświęciwszy się zawodowi lekarskiemu, przeniósł się w dojrzalszym wieku do Prus królewskich, gdzie, jako zwolennik nauki Socyna, bezpieczniéjsze znajdował niż w Śląsku schronienie. Miasto Elbląg ofiarowało mu posadę fizyka miéjskiego, tudzież katedrę historyi powszechnéj przy gimnazyum. Kilka dziełek, które Pastoryusz w ciągu kilkuletniego pobytu swego w Elblągu wydał, zaleciły go magistratowi gdańskiemu. Sprowadzony od niego do Gdańska, objął katedrę historyi powszechnéj przy gimnazyum tamtéjszém, i poświęcał wolne od obowiązków nauczycielskich chwile sztuce lekarskiéj, i pisaniu dzieł w rozmaitych materyach. Wyznanie, którego się Pastoryusz trzymał, nietylko było nieprzełamaną dlań zawadą w dostąpieniu wyższych godności w Gdańsku i w Polsce, ale nadto narażało go codziennie na tysiączne nieprzyjemności tak z strony Katolików, jako też z strony Ewangelików. Przeszedł tedy na łono kościoła katolickiego; a że właśnie małżonkę postradał, poświęcił się stanowi duchownemu. Jako kapłan poznany i polubiony od Wacława Leszczyńskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, wprowadzony został od niego na dwór Władysława IV., który go swoim sekretarzem i historyografem mianował. Biskupi zaś polscy, uważając w nawróceniu jego wielką zdobycz kościoła, obsypywali go dobrodziéjstwy i zaszczytami, tak, iż w niedługim przeciągu czasu został kanonikiem chełmińskim, warmińskim i włocławskim, protonotaryuszem apostolskim, dziekanem, proboszczem i officyałem gdańskim i pomorskim. Za te dobrodziéjstwa okazał Pastoryusz wdzięczność swojéj przybranéj ojczyźnie. Pisał dzieje narodu polskiego, opiewał wierszem jego bohatyrskie czyny, podawał mu zdrowe rady, uczył jak młodzież krajową na użytecznych obywateli sposobić należy. Umarł, pełen zasług, w 72. roku życia, około 1685 r. Łagodnego charakteru, ostróżny w każdym kroku, w pismach swoich nie szarpiąc nikogo, owszem częstokroć cierpką prawdę obwijając, że tak powiem, w bawełnę, potrafił zapewnić sobie względy trzech monarchów polskich: Władysława IV., Jana Kazimierza i Jana III., tudzież prymasów: Leszczyńskiego, Olszewskiego i Radziejewskiego, i wielu innych biskupów i znakomitych osób, bądź urodzeniem i majątkiem, bądź też nauką. Zaszczycony od monarchów polskich szlachectwem, przybrał sobie przydomek de Hirtenberg. Posiadał rozległe wiadomości; biegły w medycynie, teologii i historyi, umiał doskonale języki starożytne, a z nowszych polski, niemiecki i francuski. Pisał niezmiernie wiele, wolną i wiązaną mową w języku łacińskim i niemieckim. Do najcelniéjszych pism jego należy historya polska w skróceniu, pod tytułem: Florus polski (Florus polonicus), któréj użyteczność i wziętość pięćkroć ponawiane edycye zaświadczają. Naśladował w niéj historyą rzymską Florusa, i z téj przyczyny pracy swojéj tytuł Florusa polskiego nadał. Braun, surowy sędzia pisarzów polskich, nieprzychylny Pastoryuszowi dla tego, iż do Papieżników (*) przeszedł, wyrzekł o dziele tém następujący sąd, który tém jest prawdziwszy, iż wypłynął z pióra niekorzystnie o Pastoryuszu uprzedzonego. „Pastoryusz" — mówi — „wielkie dzieło Kromera, stylem nie kwiecistym wprawdzie, ale łatwym i czystym, rozsądnie i szczęśliwie skrócił. W miejscu zaś, na którém Kromer stanął, trzymając się téjże saméj zwięzłości, opisał swoim sposób panowanie Zygmunta Augusta i Batorego, potém opowiadanie zdarzeń za Zygmunta

(*) „Deinde ad Pontificios honorum avididate prolapsus" są słowa Brauna.



Joachim Pastoryusz de Hirtenberg.

III. i synów jego, Władysława IV. i Jana Kazimierza, rozszerzył, i dzieło w piątém wydaniu w dwójnasób powiększył. Z téj przyczyny książka ta dla owych, którzy obszernych dzieł historycznych nie czytają, staje się dobrym przewodnikiem, do poznania w krótkości dziejów Polski; dla czytających zaś obszerne dzieła, jest dobrą skazówką i utwierdza pamięć." Takie samo zdanie wydał o tém dziele Gołębiowski w książce: O dziejopisach polskich. Prócz Florusa polskiego, zasługują na uwagę następujące pisma Pastoryusza:

1. Bellum Scythico-Cosacicum. Dantisci 1652. [W dziele tém opisuje bunt Chmielnickiego. Pomnożył je następnie i wydał w dwóch częściach pod tytułem: Historiae polonicae plenioris, partes duae.]
2. Calendae regiae. Dantisci 1649. [Jest to panegiryk na przyjazd Jana Kazimierza do Torunia.]
3. J. Pastorii de praecipuis beneficiis et successibus, quibus divina gratia S. Regiam Majestatem decoravit, Oratio. Gedani 1660. [Panegiryk na pokój oliwski.]
4. Joachimi Pastorii de dignitate historiae Oratio habita Elbingae, Anno 1651. Elbingae.
5. Palaestra nobilium, seu consilium de generosorum adolescentum educatione in gratiam quorundam Illustrium Polonorum, conscriptum a J. P. M D. Elbingae 1654.
6. Theodosius Magnus. 1662.

Prócz tych dzieł napisał i wydał Pastoryusz wiele panegiryków, mów, wierszy i t. d.

J. Ł.

Przysłowia i Piosnki gminne.

Kręci bicz z piasku. — Drzewo do lasu.
Cieszy się jak nagi w pokrzywach.
Nie naraz sztuka. U skąpego zawsze po obiedzie.
Skąpy dwa razy traci.
Nałóg, druga jest natura.
Na grzeczności nikt nie traci.
Po nitce dojdzie końca, albo kłębka.
Żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi.
Kraków nie naraz zbudowany.
Nikt się mistrzem nie urodzi.
Złe dobrego nie wyciągnie.
Czart swoje, pop swoje.
Człowiek tak a Pan Bóg inak.
Gdy ma być kwaśno, niech będzie jak ocet.
Mam wisieć za jednę nogę, to wolę za obie.

Coś ty za pan,
Co gardzisz mną?
Wżdyć wszystek twój
Najlepszy strój,
Zdarty żupan
I płaszczysko,
Cne łacisko.
Ja mam przecie,
Jak widzicie,
Mideraczek
I brzuszlaczek,
I pościółeczkę,
Gdyby sołtyska.

Nasza pani rychło wstaje,
Nic nie robi, tylko łaje;
A my jéj się nie boimy,
Gdzie zajdziemy, to stoimy.

Szanujesz mnie, szanuj,
Za wianeczek, za mój;
A ja ciebie też tak będę,
Za zieloną wstęgę.

Przeproś Kasiu Jasia,
Boś go rozgniewała;
Jak go nieprzeprosisz,
Nie będziesz go miała.
Przeprosiłam kamień,
Przeproszę i wodę,
Lecz ciebie Jasińku,
Przeprosić nie mogę.

Gęś wodą, gęś wodą, kaczątka strugą,
Tańcujcie dziewczęta, jedna za drugą;
Tańcujcie dziewczęta, tańcujcie dobrze,
Aż wam się trzewiczek z pończoszką podrze.

Cóżbyś wolała dzieweczko, cóżbyś wolała,
Czy chusteczkę wyszywaną, czy Bukowczana;
Wolałabym Bukowczana, bo ładnie orze,
A chusteczka wyszywana, wnet mi się podrze.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)